

Nie ma ratunku, bo... nie ma pieniędzy...

Ponury i bolesny obraz rzeczywistości, codziennej... rzeczywistości

Baraki na Annopolu. Szare i latane „miasto” nędzarzy na krańcach nowoczesnej stolicy.

Przy drodze siedzi kobieta, nędz-na i szara, jak cała ta dzielnica smutku i bólu. Na policzkach niezdrowe rumieńce. Deszcz leje, jak z cebra, przechodnie spiesząc się mijają ją. Czasem ktoś się obejrzy i wtuli znów głowę w postawiony kołnierz wyrudziałej marynarki.

NIC SIĘ NIE STAŁO...

Zatrzymuje się. Deszcz pada z mniejszą zacielnością.

— Niech pan zadzwoni po pogotowie — ja jestem chora.

Roztrzęsiona usta, żeby dzwoniła wstrzymywane daremny wysiłkiem, oczy błyszczą mienialnie i gorączkowo.

Zatrzymuje się kilka osób. Posturkowują.

— Pani nic się nie stało, niech pani idzie do domu. Ja po pogotowie nie mogę dzwonić, bo to nie jest nagły wypadek.

Interwjujemy wszystkich, tłumaczymy, wreszcie idzie dzwonić.

— Dlaczego pani nie w domu?

— Bo w „domu” — gorzki grymas — nie ma gdzie. Byłam w ośrodku, powiedzieli, że zapalenie płuc i żebym usiadła przy drodze, to pogotowie mnie zabierze.

— Co?!

Zajeżdża karetka.

— Panie doktorze — do którego szpitala pojedzie chora?

— A bo ja wiem. Będę wozit od szpitala do szpitala, wszędzie brak miejsc, jak nie przyjmą, odwieżę do domu.

— No, ale tu jest podobno zapalenie płuc.

— Cóż robić? — rozłożył bezradnie ręce. Ach! niech pan się nieczemu nie dziwi — machnął ręką — ja przestałem się już wielu rzeczom dziwić.

— Dwaj posługawcy wprowadzają chorą do karetki. Drobnymi ramionami, okrytymi mokrą, ociekającą strugami deszczu chustką, wstrząsa deszcz. Lekarz wyjmując blocek, notuje dane. Chora odpowiada z trudem.

— Zawód męża?

— Bez pracy, zawsze był bez pracy; no czasem coś tak zrobi, to tu, to tam.

BOGACTWO, KTÓRE TRWONIMY

— Dzieci?

— Było sześcioro. Czworo umarło.

— Na co?

— Troje na suchoty. A jedno wiadomo z czego — tak cherlalo, cherlalo, aż i umarło.

— Widzi pan — zwraca się do mnie z ironicznym uśmiechem lekarz „Przyszłość narodu”, „Nasze bogactwo”, które trwoniemy... Wie pan co — ciągnie dalej doktor — bo u nas to może się leczyć tylko człowiek za mój, albo wyjątkowy szczęściarz, ale nędzarz chory ginie bez ratunku, lub czeka pomocy w rowie przydrożnym.

Drzwi karetki zatraskują się.

— Dokąd jechać, panie doktorze — pyta szofer.

— Zaczniemy od szpitala Przemienienia Pańskiego, a potem... zobaczymy.

Zawraczał motor, karetka ruszyła.

Widne korytarze o białej posadzce, białe drzwi, biała, widna sala szpitalna. Rzędami stoją łóżka wzdłuż ścian, na środku na wózek prymitywnym łóżku leży chory, za salą na korytarzu też na wózkach — chorzy.

Przepiełnienie.

Stajemy przy numerze 21. Twarz chorego żółto-biała. Oczy zapadłe. Patrzę na tabliczkę wiszącą nad łóżkiem „b. rolnik, lat 56”. Pod tym krzywa temperatura, odnotowane zabiegi.

— Wczoraj wieczorem, ciężka operacja — informuje mnie znajomy lekarz. Chodźmy, opowiem panu.

Wychodzimy na korytarz. Na zatroskanym czole lekarza zjawia się głęboka broda, ściągnięte łuki brwi zdają się mówić, ni to bólem, ni zdziwieniem.

NIE MA RATUNKU

Rokowanie beznadziejne, bo chory jest człowiekiem biednym.

— Jak to?

— Tak. Chory jest wykrwiony, trzeba transfuzji krwi i to zaraz, a szpital na to nie ma, kontyngent bezpłatnych krwiodawców już się wyczerpał — znowu ten sam ruch, pełen beznadziejności, co u tamtego lekarza z karetki.

— A Ubezpieczalnia?

— Nie przysługuje.

— A Opieka Społeczna?

— Nie ma na to.

— No, ale jakiś ratunek musi być przecież.

— Nie, nie ma. Chory jest... skazany na śmierć.

— A rodzina? Przecież ma kogos.

— Nie, nie ma. Miał dwóch synów, stracił ich w 20 roku na froncie. Chłopcy trzynasto- i czternastoletni.

— Ja pokryję koszt transfuzji. Proszę dzwonić, panie doktorze, po krwiodawcę.

— Tak. Może pan zapłaci też temu

chłopcu z amputowaną nogą, a na górce na sali są trzy kobiety konające z powodu upływu krwi — matki kilkorga drobnych dzieci? — w głosie lekarza brzmi jakaś bolesna ironia.

— Ja płacę za tego ojca dwóch synów, którzy zginęli.

Idziemy do telefonu. Krwiodawca z grupy A, krwi natychmiast — wydaje polecenie lekarz.

Czarna słuchawka zawisała znów nieruchomo na widełkach.

— W tej chwili będzie. Siostra proszę przygotować do transfuzji.

NA SALI OPERACYJNEJ

Na salę operacyjną, błyszczącą niklem i bielą wwożą chorego. Lekarze myją się długo, starannie. Piasek w klepsydrze zawieszony nad umywalnią przesypuje się wolno, ziarenkami, mierząc czas mycia rąk — a może i ostatnich chwil chorego... U sufitu wielka, okrągła lampa — reflektor rzuca jasne światło na chorego.

Przychodzi młody, może dwudziestoletni mężczyzna: student — krwiodawca. Kładą go na stole operacyjnym, przykrywają serwetami. Obok, podsuwają wózek z chorem.

Na białym żelaznym stoliku, nakrytym szpitalną serwetą, leżą obok sie-

bie dwie ręce — jedna żółta — szara, o chudym wiotkim ramieniu, druga, młoda, silna, z grającymi pod skórą mięśniami.

Ostatnie przygotowania.

TRANSFUZJA...

W przegub ręki krwiodawcy wlebia się wprawną dłonią prowadzona duża igła. Koniec ostrożnie szuka żyły — nakłuwa ją — u końca pustej wewnątrz igły ukazuje się najpierw niewielka, potem nieco większa kropla żywej czerwonej krwi.

Teraz lekarz szuka żyły u chorego. Chore tkanki, chora żyła, — trudno trafić... Na czole lekarza występują drobne kropelki potu.

Jest.

Zakładają strzykawkę, tłok powoli idzie ku górze, strzykawka wypełnia się zdrową krwią.

Pełna.

Zamknięto kranik ze strony krwiodawcy, otwiera się drugie ujęcie ze strzykawką do żyły chorego.

I znowu powoli opróżnia się szklany cylinder, sącząc życiodajną krew...

I tak wciąż — ktoś głośno liczy ilości strzykawkę, wypełnionych krwią, ktoś chrząkał i znowu cisza.

W skupieniu ratuje się życie ludzkie, wartość nieskończenie wielką.

W. WITKOWSKI.

Niezwykły wypadek w szkockim zamku Śmierć czyha w grobowcach faraonów Ofiary Tutenkamena czy przypadek?

Dzienniki angielskie doniosły niedawno o dziwnym i sensacyjnym fakcie, który wydarzył się w szkockim zamku lorda Seton.

Pewnej nocy lorda zbudził brzęk tłuczonego szkła, tak silny, jakby w sąsiednich pokojach wyleciały wszystkie szyby. Okazało się, że pękł tylko z niewiadomych przyczyn szklany klosz w salonie, pod którym znajdowała się przywieziona z Egiptu kość jednego z faraonów. Sama kość strzaskana była na drobne kawałeczki, a żelazna podstawa na której była umieszczona, wygięła się w niewytłumaczony sposób.

ZEMSTA FARAONÓW

Znowu ożyły więc wszystkie opowieści o ofiarach zemsty faraonów, mszczących się na śmiertelnikach, którzy wdarli się w głąb piramid. Przypomniano znowu głośną w swoim czasie historię lorda Carwarwona, który w towarzystwie sir H. Cartera dokonywał paszukiwań w grobowcu Tutenkamena.

Lord Carwarwon wierzył w przesady i sam kiedyś oświadczył dziennikarzom, iż najniebezpieczniejszą są ci z faraonów, którzy odeszli kiedyś od wiary swoich przodków. Do takich należał w pierwszym okresie swego panowania Tutenkamen.

Sir Carter przeciwstawiał się ostro wszelkim przesadom. Przystępował do badań z zimnym spokojem, przedsiębiorca wszelkie środki ostrożności przed niebezpieczeństwami, które zdaniem jego mogą czaić w głębinach piramid. Przed rozpoczęciem badań wietrzono grobowiec, by usunąć szkodliwe dla zdrowia gazy, zgromadzone tam przez stulecia, przy badaniach używał szczególnych rękawiczek.

PONURA LISTA OFIAR

A jednak... śmierć przerwała poszukiwania lorda Carwarwona w dniu, w którym dostał się on do trzeciej i ostatniej sali, gdzie spoczywał sarkofag Tutenkamena. Drobną i nie nie

znaczący przypadek pociągnął za sobą nieoczekiwane następstwa.

Gdy wychodził z sanktuarium egipskiego grobowca poczuł nagle dotkliwie ukąszenie na policzku. Wieczorem tegoż dnia ból w tym miejscu zaczął dokuczać mu niezmownie. Dostał wysokiej gorączki. W krótkim czasie na miejscu ukąszenia powstał wrzód. Czterech chirurgów przeprowadzało operację. Mimo to lord Carwarwon w kilka tygodni umarł.

Kiedy potem sir Carter sam otworzył sarkofag i po otwarciu czterech trumien z marmuru i złota ujrział mumię Tutenkamena, na pergaminowej twarzy faraona, po rdelcu z niej złotej maski, odnalazł bliznę, w tym samym miejscu i taką samą, jak blizna, którą miał na swej twarzy lord Carwarwon po operacji.

Od tej pory rosła zaczęła lista ofiar faraonów. Wkrótce po Carwarvonie zmarł jego sekretarz Dick Bethell, archeolog francuski Bénédict, Włoch Mario Pasanova.

Egiptolog Evelyn White od chwili, kiedy odwiedził otwarty grobowiec, wpadł nagle w stan silnego rozstroju nerwów. Godzinami przesiadywał nieruchomo, mruczając do siebie niezrozumiałe słowa. Wreszcie popełnił samobójstwo, zostawiając list, w którym pisał: „wola umrzeć, niż znosić męczarnie, które nie dają mi spokoju...”. Żona profesora Newberry, która zaczęła zmieniać podszewkę pod całunem, okrywającym sarkofag, umarła, nie dokończywszy swej roboty.

W ciągu dwóch lat, po odkryciu lorda Carwarwona, szesnastu dziennikarzy, w tym siedmiu Francuzów, zmarło, po odwiedzeniu grobowca. Wszyscy konserwatorzy, dozorczy, robotnicy, którzy w muzeum egipskim Kairu, musieli przy pracach swych dotykać się przedmiotów pochodzących z Doliny Królów, umierali jeden po drugim w ten czy inny sposób.

A Carter? I ci, którzy, zwiedziwszy ponury grobowiec nie zginęli tajemniczą śmiercią?

Ponura atmosfera sugestii wpły-

wała niewątpliwie na zmniejszenie odporności wewnętrznej ludzi, którzy w czasie prac wokół grobowca ulegali chorobom czy wypadkom, które mogły nie mieć nic wspólnego z tymi pracami, lub były wynikiem jakichś nieostrożności. Z drugiej strony, w każdym wypadku śmierci chcieli doszukać się tajemniczych przyczyn.

Carter i inni przeżyli „niebezpieczne” badania. Być może dlatego, że trzeźwość umysłu i opanowane nerwy zapewniły mu najlepszą ochronę przed tajemniczą „zemstą faraonów”.

„Vittore Veneto”

W niedzielę spuszczone na wodę w Trieście w obecności króla

Włochów Wiktora Emanuela nowy włoski okręt wojenny „Vittore Veneto”. Na naszym zdjęciu „Vittore Veneto” na chwilę przed przecięciem lin, utrzymujących okręt w doku.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

Pod ostrym kątem

PEWNE RZECZY

Obudziłem się w niedzielę rano zły zimnym potem, szeregając zębami z przerażenia, zmordowany jak po najcięższej fizycznej pracy...

Miałem sen.

Śniło mi się, że wezwany przed groźne oblicze redakcji jego szefa usłyszałem najpierw polecenie:

— Otrzymał pan odpowiednie zadanie. Napisz pan, według relacji naszego wyśtannika ostatnie wiadomości o zamachu... Obszernie i szczegółowo — ale tak, aby nie ujawnić, broń Boże, tajemnicy śledztwa. Rozumie pan.

Tak jest — rzekłem służbiście.

Po głębokim namyśle rozpoznałem dyktować wiadomość: „Pewnego dnia, pewien człowiek wsiadł na pewien środek lokomocji i udał się do pewnego miasta, skąd używając innego środka lokomocji pojechał do pewnego miasta, gdzie znalazł się o pewnej porze dnia”.

„Zapewne używając znowu pewnych środków lokomocji wyjechał do pewnej miejscowości podmiejskiej, gdzie przy furcie pewnej posesji umieścił pewien przedmiot, w pewnym celu”.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.

W. WITKOWSKI.